




Paweł Pietrzak
Zawsze po północy



Noc była naprawdę parna. Wydawało się, że dzień nadal trwał, że słońce tylko schowało się za horyzontem, pozostawiając po sobie żar i duchotę. Miasto natomiast, za pomocą lamp i neonów, rekompensowało brak słonecznego blasku. Powietrze przypominało galaretę na moment przed zastygnięciem. Natomiast wszyscy ludzie rozmawiali głównie o tym, czy i kiedy spadnie deszcz, kiedy przyjdzie burza, która polepszy ten tlenowy czop.

Jackowi też było duszno, pocił się, choć musiał przyznać, że przemyskanie pomiędzy drzewami dziko obrastającym szpitalny parking przynosiło niejako ulgę w zmaganiach z letnią duchotą. Drzewa mimo wszystko pomagały, zwłaszcza, że rosły w dużej odległości od głównych arterii komunikacyjnych miasta, dodających do i tak niebotycznej duszności jeszcze smród spalin i hot-dogów. A dodatkowo drzewa dawały możliwość zniknięcia, skrycia się przed wzrokiem ewentualnych gapiów albo tych kierowców, którzy postanowili spędzić noc w samochodzie, nie zaś w przyszpitalnym hotelu matek.


Nie znał się na drzewach, nie odróżniłby modrzewia od dębu, ale tak naprawdę, to nie potrzebował tych nieprzydatnych umiejętności, skoro drzewa nadal były drzewami – wysokimi i, co najważniejsze, rozłożystymi, często aż od samej ziemi. Nic go nie kłuło, więc z pewnością nie były to iglaki. Nie, na pewno iglaków tu nie odczuwał. Odczuwał

tylko podniecenie, takie niemal cudowne podrygiwanie serducha, jak przed czymś ważnym, co miało nastąpić, co czaiło się za rogiem, co miało przynieść mnóstwo miłego i fajnego poczucia spełnienia.

Tradycyjnie usłyszał bicie dzwonu w kościele Najświętszej Panny. Dwanaście uderzeń, świadczących o tym, że oficjalnie skończył się dwudziesty pierwszy czerwiec. Ten dzwon oznaczał, że za trzynaście godzin Jacek miał, odziany w garnitur, który na razie kisił się w szafie w pokoju w akademiku, stanąć przed profesorem Kowalskim i opowiadać o zasadach wolnego rynku, inflacji czy innych kurestwach, których musiał się uczyć przez cały miniony semestr. Ale to jeszcze kawał czasu. Zdąży naładować baterie, wypać się, wykąpać. Spokojnie, miał to wszystko „obcykane”. Planowo, jak i poprzedniej nocy, i poprzedniej, i poprzedniej, i cholera wie ile nocy wcześniej, wylądować łóżku koło drugiej, z sercem bijącym z radości przed kolejną nocą, lub też walącym z euforii po nocy poprzedniej.

Chyba to było w tym wszystkim najlepsze... To, że nigdy nie wiedział, kiedy mu się poszczęści, kiedy rozbije bank; to że każdej nocy grał sam ze sobą (no i z właścicielami aut, oczywiście) w osobistą odmianę jedno-rękiego bandyty. Tylko, że takiego, który cię nigdy nie ograbi. Takiego, który da ci prawdziwy radosny orgazm.

Parkingi – te z prawdziwego zdarzenia, z budkami cieciorów pilnują-



cych podnoszenia i opuszczania szlabanu – były dwa, po obu stronach szpitala, przy obu wejściach. Jacek kiedyś policzył, że oba zapewniały miejsce dla pięćdziesięciu ośmiu aut, czyli teoretycznie tyle samo dzieciaków oraz ich mam przebywało na terenie szpitala. Tyle, że szpital był ogromny, z pewnością w salach zapelniających jego ohydne cielsko koczowało przy łózkach pociech dużo więcej nieszczęsnych rodziców, dlatego też do roli przyszpitalnych parkingów pretendowały też wszelkie chodniki, dróżki dojazdowe, trawniki, placyki etc. Wszystkie te miejsca w większym lub mniejszym stopniu obfajdane były samochodami, częstokroć z rejestracjami z krańców Polski. Samochody stały wszędzie, w każdym kącie, pod każdym filarem wspierającym wyjazd dla karetki, na każdym wolnym fragmencie chodnika. Jacek nigdy tego nie liczył, lecz aut zaparkowanych na dziko mogło czasami być z dwieście, może coś koło tego...

Nie interesowały go oficjalne parkingi, nie obchodziły samochody ustawiane na chodnikach przy ścianach szpitala, często pod oknami, nie interesował się samochodami zaparkowanymi na szerokich chodnikach. Nie, te maszyny mogły spać spokojnie, okryte światłem skromnie rozsianych latarni, które zdawały się tkwić w tych miejscach od setek lat, z tymi samymi żarówkami, tymi samymi obsranymi przez robactwo klokszami.

Jacek patrzył pożądliwie na te

samochody, które kierowcy, przysypiający w hotelu albo u rodziny (jeśli taką szczęśliwie posiadali w najbliższej okolicy) pozostawili przy drzewach, pod krzakami, gdzieś poza całą dziką strefą parkowania. Te samochody przyciągały wzrok Jacka i sprawiały, że szybkim krokiem podchodził do drzwi, chwycił za klamki i liczył na łut szczęścia.


Co noc, kilkadziesiąt wozów, kilkadziesiąt klamek, nigdy żadnego łomu, żadnej listwy, żadnego wytrychu – tylko zabawa w to, czy kierowca był pierdołą i pozostawił drzwi niedomknięte, czy w gorączce rodzicielskiej troski o zdrowie najbliższych zapomniał przekręcić kluczyk w zamku czy też piknąć alarmem czy też może pozamykał swój dobytek szczelnie i dokładnie. Co noc – ja czy ty, pociągamy i sprawdzamy, czy jest jackpot, czy też znowu kicha. Hop do auta, klamka (jedna, druga...) i wracamy do mroku drzewa.

Jezu, ależ Jacek to lubił!

Czasami ojcowie spali w samochodach, ściśnięci w puszcze, na rozłożonym przednim siedzeniu, śpiący albo słuchający radia w oczekiwaniu na poranek, który pozwoli im rozprostować sterane nocą kości i pobiec do najbliższych. Jacek obserwował, sprawdzał teren, omijał te miejsca, które były trefne. Miał wprawę, tak, wiedział, że był w tym dobry, jak zawodowiec, Jacuś zawodowiec.

Od tamtej nocy (kiedy to było? Miesiąc temu? Dwa?) wiele się nauczył, oj wiele.

Bo to właśnie wtedy, gdzieś tak



w połowie maja, łąził z kumplami po mieście, ciesząc się tym pierwiastkiem studenckiej bohemy, którą byli. Po odstawieniu wszystkich bardziej lub mniej nawalonych chłopaków na wynajmowane przez nich stancje, Jacek skrócił sobie drogę do akademika i przeciął w poprzek jeden z dzikich przyszpitalnych parkingów. Wtedy też już z daleka dostrzegł ojca czy partnera jakiejś nieszczęsnej mamy śpiącej gdzieś w gardzieli szpitala, wychodzącego z auta i klepiącego się po kieszeniach w poszukiwaniu portfela czy Bóg wie czego. ów mężczyzna (o nieokreślonym wieku, skrytym w mroku nocy), w którego ruchach widać było roztargnienie, wystartował szybkim krokiem w kierunku najbliższej stacji benzynowej (BP, zaraz za skrzyżowaniem, Jacek wiedział to, mijał ją milion razy), pewnie by kupić fajki albo jakiegoś umilacza nocnej warty. Jacek, zupełnie podświadomie, niemal bez udziału umysłu, zwolnił marsz, przystanął za jednym z drzew i poczekał aż mężczyzna oddali się na tyle, by... Właśnie, by co?...

Na wspomnienie tej nocy Jacek czuł dreszcz, który płynął gdzieś z okolic krocza aż do samego mózgu. Dreszcz bardzo złego chłopca, który zrobił coś nieładnego.

Tamtej nocy podszedł do auta, złapał za klamkę i otworzył drzwi. Wsiadł do środka samochodu (pachniało tapicerką i starymi pokrowcami na siedzenia), dłonie położył na kierownicy. A następnie zaczął szperać po schowkach. Znalazł

sto nieprzydatnych karteczek (rachunki, karteluszk parkingowe...), zużytą zapalniczkę, płyty wyjęte z kopert (Jacek nienawidził, gdy ktoś nie szanował płyt, po prostu nienawidził!), a oprócz tego stówę. Nie wierzył własnym oczom, wytrzeszczonym do granic możliwości w samochodowej ciemności, gdy przysunął do nich banknot. O pomyłce nie mogło być mowy — jedynka i dwa zera. Ten sam bezwolny pęd, który przed momentem pchnął go do wnętrza samochodu, tym razem go z niego wy dostał. Już nie pamiętał po tych dwóch miesiącach, czy powpychał wszystko idealnie z powrotem do schowka, ale cholera z tym. Pamiętał, że uciekał stamtąd, zaślepiony lękiem i radością, że dokonał czegoś... innego, niż dotychczas, czegoś tak niesamowicie szalonego, że sam z trudem przyjmował to do świadomości.

Uciekł, a potem poszedł na tę samą stację benzynową, do której z pewnością udał się nieszczęsny właściciel otwartego auta (nie spotkał go po drodze, bo lawirował między drzewami jak wiewiórka-komandos) i kupił dwa piwa. Pani za ladą przyjęła banknot, zerknęła na niego (ach, ci specjaliści z za kontuarów, potrafiący jednym rzutem oka odróżnić fałszywkę od oryginału), a potem wydała resztę i paragon.

To był początek.

Następnej nocy, jakby pchany wewnętrzną potrzebą organizmu, wywołującą go na żer, znów powędrował na parking przy szpitalu. I

następnej, i następnej...

Był tu i teraz, a przed nim biały opel stojący idealnie pomiędzy drzewami, jakby czekający na takiego nocnego łazika, jak Jacek, będący spełnieniem conocnych wojaży.

Jacek poczuł ten sam dreszcz, jaki przeszył jego ciało dwa miesiące temu, w tę inauguracyjną noc. Schowany za drzewem patrzył na kombiaka i, choć nie wiedząc, czy jego właściciel również popełnił gafę i zostawił drzwi otwarte, wiedział, że trafił w dziesiątkę. Zrobił więc to, co wielokrotnie wcześniej – szybkim, pewnym krokiem zawodowca podszedł do samochodu i złapał za klamkę od strony kierowcy. Drzwi skrzypnęły i otworzyły się. Jacek zaś, znów dając się ponieść instynktowi, zupełnie bez udziału woli, jak wyuczony przez tresera zwierzak, wsiadł do środka.

Nie pachniało tapicerką, tylko spoconym człowiekiem. Facetem, bo to faceci (albo wyjątkowo grube, paskudne baby) wydzielają ten specyficzny zgniłkowy zapach. Sięgnął do schowka. Otworzył go i wtedy usłyszał głos, mocny głos dobiegający z niewielkiej odległości:

— Oż ty, kurwa, czego tu!

Jacek popatrzył w lewo, nagle zmartwiały. Od strony drzewa, stojącego zaraz obok tego, zza którego sam przed momentem wyskoczył, szedł mężczyzna, zapinając rozpiorek. Był to duży facet, osiłek z piwnym brzuszyskiem, wylewającym się spod zbyt krótkiej koszulki.

— Kurwa, lać mi się chciało,

a tu...

Głos mężczyzny przywodził na myśl wszystkich tych kafarów, których Jacek widywał w filmach. Takich, którzy pilnują swego szefa, a motłoch zawadzający im na drodze ścierają z powierzchni ziemi za pomocą łapy wielkości szafy. W oczach Jacka ten facet zdawał się być jeszcze większy od tamtych filmowych zbirów.

Fakt, Jacek wielokrotnie ćwiczył sam z sobą (raz nawet patrząc w lustro, robiąc odpowiednio zbołałe oczy pieska wyrzuconego na bruk), co powiedzieć w sytuacji przyłapania. W pokoju, przy włączonym komputerze to wszystko wydawało się proste – po prostu powiem, że sorry, popieprzyło mi się, bo mam taki sam wóz, a te parkingi są takie rozległe i pokrzywione, a w nocy wszystkie koty są czarne, nie? To najprostsze wytłumaczenie.

Jednakże w tym momencie, w obliczu nadciągającego buldożera, wyjaśnienie to zdawało się przypominać nędzną bajeczkę wymyślaną przez dzieci próbujące powiedzieć mamie, dlaczego rozbiły jej ukochany wazon.

— Przepraszam... — zaczął Jacek, równocześnie gramoląc się z auta. Czuł, że będzie musiał mocno trzymać się drzwi, by nie runąć jak długi przed tym kolesiem.

— Ty w dupę jebany... — zaczął facet i pewnie jakoś skończył, ale Jacek już końca jego wypowiedzi nie dosłyszał, gdyż została ona zagłuszona przez potężny cios pięścią, który zmiażdżył nos, a wraz z

im cały świat Jacka.

Jacek poczuł ból, jakiego nie znał nigdy wcześniej. Nie był rozrabiającą, nie bił się z nikim od kiedy tylko pamiętał (nie licząc jakich przepychanek z kumplami w piaskownicy, gdy był tylko gówniarzem) i tego typu ból był dla niego tylko wyobrażeniem. Jednakże w tamtym momencie, kiedy starał się wydostać z wnętrza opla, a wielki (o wiele za wielki!) kierowca wyżywał się na jego buzi, ból okazał się aż nazbyt realny.

Łzy popłynęły z jego oczu, a wraz z nimi, niczym wyścigówki na torze, z nosa popłynęła krew. Kolejny zaś cios spowodował, że do strumienia krwi z nosa dołączy też strumień z rozszarpanej wargi.

Krzyknął, ale słabo. Zaciśnięte gardło sprawiło, że głos uwiązł i stał się tylko jękiem. Natomiast ciało, do tej pory popychane do działania odruchem, popędem jakimś, stało się bezwolnym materiałem, przypominającym manekina. I właśnie jak manekin, Jacek osunął się na siedzenie opla, zaraz za kierownicą, jakby był ofiarą wypadku.

Ten facet... Nie dał sobie wytłumaczyć... — strzępy myśli docierały do mózgu Jacka i ulatywały gdzieś dalej, bo oto kolejny cios spadał na jego twarz, dezeluując nie tylko nos i wargi, ale i oczy, które zaczęły kryć się za warstwą opuchlizny. Jacek nadal starał się wydostać z wozu, cokolwiek powiedzieć, lecz kiedy po następnym uderzeniu i następnym potoku wyzwisk ze strony kierowcy, poczuł, że jeden z zębów

wyłamuje się i łąduje na języku, czekając na połknięcie albo wyplucie, stracił siłę. Uleciało podniecenie z czynienia grzecznego zła. Uleciał dreszczyk. Zastąpione zostały przez cierpienie, które dziwnym trafem zaczęło zanikać, otoczone przez mgłę osłabienia i omdlenia. Jacek słyszał jeszcze głos człowieka, jeszcze myślał o tym, że może ktokolwiek nadejdzie i powie, że to jakaś pierdolona pomyłka, myślał o swym pokoiku w akademiku i ściąganych filmach z Internetu, które miał obejrzeć następnego dnia – bo to przecież była sobota, już zaczęła się sobota do jasnej cholery. Myślał..., a potem odpłynął.



Miał dziwny sen... Że ktoś napycha mu usta czymś ohydny. Chciał się obudzić, ale nie potrafił, bo to ohydne coś nadal tkwiło, smakowało smarem albo jakimś olejem i zalegało na języku, obolałych dziąsłach i wargach. W tym śnie też coś obwijało jego ciało, nie pozwalając na jakikolwiek ruch, prócz kręceniem głową. W tym śnie też leżał w ciasnym, dusznym pomieszczeniu i słyszał głosy – jeden niemal rozpoznawał i bał się go, drugi zaś – kobiecy, delikatniejszy, ale trochę straszny – sprawiał, że sen był coraz bardziej koszmarny. W tym śnie też widział otwarte drzwi samochodu i siebie samego stojącego gdzieś z boku i ma-

chającego rękoma i wołającego: „Nie rób tego, nie rób tego!”.

To był zły sen, a którego wkrótce miał się przedostać do jeszcze gorszego.



Najpierw poczuł wstrząsy. Drżenie światła wokół siebie.

Wróciła pamięć, niby zagubiony samolot szukający lotniska, a wraz z pamięcią przybył strach.

Jacek przymknął powieki, bowiem światło słoneczne uderzyło w nie jak taran. Spowodowało dodatkowy ból, którego Jacek i tak miał w nadmiarze. Bolała go twarz – oczy, policzki, wargi i nos, wszystko zmiażdżone łapskiem faceta, tego demona, który wyłonił się zza krzaka dopinając rozporek i chowając w nim pewnie równie monstrualnego siusiaka. Twarz pulsowała, jakby była żywą istotą, narodzoną i rzuconą gdzieś na gnój, by zdechła w męczarniach. Język dotykając dziąseł czuł przerwy, puste miejsce wypełnione skrzepem po wybitym zębie, który przecież był mocny, ładny i zadbany, a który wypluł (choć ego nie pamiętał za cholere) lub też połknął. Język nie miał zresztą zbyt wiele pola manewru, usta bowiem zapchane były czymś, co smakowało... ohydnie. Jacek starał się wypluć paskudztwo, które dodatkowo podrażniało obolałe dziąsła, ale to coś było zbyt wielkie, niby ohydny szczur, który wgryza się

w tkankę, by dotrzeć do świeżego mięsa.

Ciało cierpiało. Jacek czuł, że był związany. Starał się ruszyć, ale jedynym co mógł uczynić było poruszenie palcami u rąk, delikatne obrócenie głowy, wzruszenie ramionami. Coś ściśle oplatało jego całego, ściskając i tłamsząc. A do tego jeszcze dochodziło drżenie. Wstrząsy, które powodowały, że Jacek przesuwiał się po ciasnym wnętrzu czegoś (wyobrażenia podpowiadała mu, że był to bagażnik opla kombi, którego drzwi po jakiegoś chuja zapragnął otworzyć) i jęczał, bo tylko tyle mógł uczynić.

Mógł jedynie leżeć, jęczeć i mrużyć powieki przed ostrym letnim słońcem.


Ile leżał w tym miejscu? Co z nim zrobił ten koszmarny kierowca? Przecież chciał mu wytłumaczyć, nie? Przecież pragnął wszystko wyjaśnić...

Słowa kierowcy o łapach ciężkich niczym dziesięciokilowe młoty nadal kołatały się gdzieś pod czaszką Jacka. Odbijały się, jak Jacek od brzegów bagażnika, pozostawiając po sobie echo, które też bolało.

Jacek czuł, był po prostu pewien, że zacznie płakać, a szloch zadusi go, zmusi do głębszych oddechów, które przecież będą niemożliwe, a potem doprowadzi do tego, że utopi się we własnych łzach i smarkach.

Ale przecież nie chciał tego...

Samochód jechał. Jacek słyszał warkot silnika, skrzywienie zawieszania, czuł ruch. Otworzył oczy, zamknął je. Otworzył ponownie, za-



mrugał kilkakrotnie. Nagły odruch wymiotny sprawił, że faktycznie prawie rzygnął. A gdyby rzeczywiście to uczynił, umarłby tu i teraz, jak jakiś zapijaczony rockman. Wnętrze bagażnika – bo tam się właśnie znajdował, ale on już to wiedział, doskonale wiedział – wypełniał zgniły zapach, jakby przewożono w nim niezliczone ilości brudów, po których nigdy nie sprzątało. Wypełniało go też światło dnia i to ono sprawiło, że Jacek zauważył, czym go skrępowano. Była to linka holownicza, a hak na jej końcu wpijał się chłopakowi w brzuch.

Jacek poruszył się słabo, starał zmienić pozycję, bo wszak na filmach zawsze tak czynią ci schwytni i związani i czasami (tylko czasami, ale zawsze) udaje im się odnaleźć jakiś sposób na ucieczkę. Nic. Pustka. I tylko miganie obrazów za oknem bagażnika – drzewa, czy domy, Jacek nie widział. Wóz jechał szybko.

Rozmowa, którą słyszał jeszcze w nocy, gdy odzyskiwał i tracił przytomność, trwała. Dwa głosy przelewały się przez uszy Jacka w bezsensownym potoku. Chyba grało też radio, z głośników dobiegał równy beat jakiegoś kawałka.

Jacek znów poczuł, że zaraz wymiotuje. Do nagłego skurczu żołądka dołączył jeszcze ból dziąseł w miejscach, gdzie padały ciosy.

Boże, to naprawdę się dzieje! Stracił ząb, a jakiś świr wiózł go w bagażniku, jak w jakiejś „Teksańskiej masakrze”. Nie potrafił w to uwierzyć. Odpychał od siebie

koszmarne myśli, że najlepszym, co może go w tej chwili spotkać jest bolesna śmierć... mój Boże... śmierć.

Auto nagle zatrzymało się. Głosy stały się wyraźniejsze. Kierowca mówił, a jego głos zdawał się kłócący, jakby uspokajał pasażerkę. Bo to była kobieta, a jej słowa były zupełnie niezrozumiałe. Jak na kanale telewizyjnym, którego tunera nie może dobrze ustawić.

— Już dobrze – to facet o łapach jak szafy. – Będzie inaczej, oboje o to zadbamy.

Kobieta coś odpowiedziała, a w zasadzie odmruknęła. Następnie zaś radio przestało grać, a drzwi od strony kierowcy otwarły się.

Jacek poczuł parcie na pęcherz. Lęk sprawił, że nie zdołał powstrzymać moczu i gdy kroki mężczyzny (dwa, może trzy człapnięcia) zbliżyły się do bagażnika, popuścił z jękiem wstydu i rozpacz. Potem zaś kłapa bagażnika uniosła się i światło słoneczne zostało przesłonięte przez wielką postać kierowcy.

— śmieciu – rzucił, jakby słowo to było trucizną, którą należało wypłuć. – Pozwól, że ci wyjaśnię.

Jacek też chciał wyjaśnić. Nadal chciał powiedzieć, że przeprasza, że nie chciał. Jeśliby tylko knebel w ustach zniknął, płakałby i przeproszał. A potem poszedłby do dentystry, wydał całe stypendium, a nawet wszystkie stypendia życia i wstał brakujący ząb i wszystko byłoby znów...

...jak kiedyś.

Facet pociągnął nosem. Jacek zaszczołał.

— Ziszczaleś się, ale niech ci będzie. Nie jesteś już dzieckiem, ale niech ci będzie. Posprzątam. Ale teraz... kilka słów ode mnie.

Przyszła pasażerka, stanęła obok mężczyzny. Była drobniejsza, anemiczna, przypominała marionetkę, której odcięto sznurki.

I mógł to sprawić strach, ból, smród szmaty w ustach zmieszany ze smrodem moczu; mógł to też być widok kobiety, gdy słońce zostało przesłonięte przez samotną chmurę i obraz stał się wyraźniejszy, ale Jacek stracił przytomność.



Gdy ją odzyskał, pierwszą rzeczą, którą ujrzał było zdjęcie. Zaraz przed oczami, zastępujące widok czegokolwiek innego. Najpierw nie potrafił rozpoznać kształtów na zdjęciu, jednakże po kilku mrugnięciach dostrzegł na nim coś leżącego na białym prześcieradle. Dziwaczny, pokręcony kształt, blady i przypominający kawałek mięsa. Tylko że ten kawałek miał oczy, jakieś niby-usta i kończyny, bo rękoma i nogami trudno było te części ciała nazwać. Powykrzywiane, nieludzkie.

Zdjęcie zniknęło, przez krótką sekundę zastąpiła je ciemność, potem jednak pojawiło się kolejne zdjęcie. Ukazywało podobne ciało – pokręcone, jakby poszarpane przez dzi-

waczną siłę. Trzecie zdjęcie było podobne.

Po trzecim zdjęciu ukazała się twarz mężczyzny. Ogromna, nieogolona, z mnóstwem czarnych kropek zaskórniaków. Twarz ta wyrażała zdecydowanie, może gniew. Jacek widział go z bliska, po raz pierwszy. Nie czuł już w ustach knebla. Dziaśła i wargi pulsowały tęnym bólem, ale przynajmniej mógł coś powiedzieć. Wreszcie mógł spróbować:

— Prze... — zaczął i zaraz zamilkł. Nie potrafił wydać z siebie głosu będącego czymś więcej niż tylko szeptem. Zasnęte gardło odmówiło posłuszeństwa i Jacek rozkaszał się niczym astmatyk po wyjątkowo długim biegu. Kaszłał i kaszłał, czując, że za chwilę wypłuje nie tylko płuca, ale i żołądek. Oczy zaszyły mu łzami. Starał się powstrzymać, powiedzieć to, co pragnął powiedzieć od dawna.

— Przepraszam – wychrypiął, gdy atak kaszlu nieco osłabł. Nie mówił swoim głosem, lecz zaledwie jego cieniem, ale przynajmniej mówił. – Przepraszam.

Mężczyzna tylko kiwał głową, jakby kurtuazyjnie wysłuchiwał swego rozmówcy. Za sobą miał ciemność rozrywaną przez metalową lampkę na odrapanej nóżce, stojącą pół metra od nich i sączące się przez obramowanie drzwi światło. Gdzie się znajdowali? Było tu ciepło, ale powietrze przesycone było wilgocią, a zapach miał w sobie coś zepsutego.

Jacek leżał na kamiennej podłodze, czuł kontury cegieł, czy czego

tam innego tworzącego podłóżę. Było mu słabo, kaszel wypompuwał z niego całą energię. A więzy, które kępowały jego ruchy, nie zostały zdjęte. Nadal odczuwał ucisk haku na brzuchu.

— Przepraszasz – powiedział mężczyzna. – Ty przepraszasz. Tak samo, jak ci wszyscy lekarze.

Jacek popatrzył na mężczyznę. Ten musiał się wyprostować, bo wydał się nagle większy i naprawdę przerażający. Jak władca swego malutkiego ludu. Górował nad Jackiem, który leżał i potrafił tylko mrugać, by pozbyć się łez i przełykać ślinę, by w jakikolwiek sposób powstrzymać ewentualny kolejny atak kaszlu.

Mężczyzna wciąż trzymał w dłoniach zdjęcia. Popatrzył na nie ponownie, jakby dla przypomnienia, co ukazywały. Jego twarz stężała. Zbliżył je do oczu Jacka – jedno, drugie, trzecie, i znowu, i znowu jak w koszmarnym fotoplastykonie.

— Wiesz, co na nich jest? – rzucił i nie czekał na odpowiedź. – To moje dzieci. Moje córki i syn, które zmarły w tym pieprzonym szpitalu. Lekarze obiecywali, że tym razem będzie inaczej, że wreszcie się uda, bo mają nowy sprzęt od Owsiaaka. A tu gówno! Marek, Ania i Małgosia... Trzy biedne ciałka, które mogłem tylko sfotografować.

Jacek poczuł, że nadchodzi kolejna fala omdlenia. Przypomniawszy sobie kobietę, która wcześniej (kiedy? Dziś, a może miesiąc temu?) pojawiła się w blasku słońca. Kobietę, której ciało wyglądało jak... jak te

dzieci, tylko że...

— Przywiozłem żonę, gdy zaczęły się bóle. Czekałem w szpitalu, w aucie przez długie, długie godziny, bo miałem nadzieję, że może wreszcie będziemy mieli małe dziecko, ale nie udało się... Boże, tyle śmierci, tyle zła. Czwarte dziecko, rozumiesz? Straciliśmy czwarte dziecko.

Mężczyzna postąpił kilka kroków do tyłu i na chwilę skrył się w mroku. Jacek niemal krzyknął, by nie odchodził, by nie zostawiał go samego, bo zaraz wszystko mu wyjaśni. Usłyszał, że mężczyzna podnosi coś ze stołu stojącego gdzieś tam, z boku. Wrócił do światła. W dłoni trzymał malutką trumienkę, wielkości może kartonu papierosów, ciemną, smutną.

W niepojęty sposób widok tej trumienki sprawił, że Jacek pomyślał, że już nigdy nie będzie mu dane ujrzeć światła dziennego, że ten człowiek gdzieś tam chowa większą trumnę, dla niego.

— Jeszcze pusta, ale dziś pojedę po naszego syna. Znowu nasze dziecko... odeszło. Już nigdy więcej nie będziemy próbować, już nigdy więcej nie chcemy przechodzić przez ten ból. Rozumiesz to?

Jacek pospiesznie pokiwał głową, bo w przytakiwaniu tkwiła jego szansa, jego nadzieja.

— I pojawiłeś się ty! Najpierw chciałem cię ubić, wiesz? (przytknięcie) Czekałem na moją żonę, a ty tak bezczelnie wpierdoliłeś się w nasze cierpienie. Kapujesz? (przytknięcie) Potem jednak pomyślałem, że

może jednak jakoś odnajdziemy spokój i nasze dziecko. Że przebrniemy przez te trudne chwile, gdy dziecko jest małe i tyle cierpienia sprawia mu nauka życia i...

Otwarły się drzwi. Do wnętrza pomieszczenia wlało się więcej światła. W drzwiach stanęła kobieta. Podeszła bliżej do mężczyzny. Złapała go za rękę. Razem wyglądali jak para wprost z cyrku dziwologów. On – wielki jak stodoła, ona – drobna, z rękoma nieproporcjonalnie długimi, twarzą powykrecaną przez dziwaczne genetyczne koszmary, oczami patrzącymi pod dziwnym kątem na świat, płaskim nosem i dziwnymi kostnymi wypustkami wystającymi z nad obojczyków.

Nie zamknęła za sobą drzwi. Jacek dostrzegł, że sala, w której się znajdowali przypominała świniarnię. Nagie ściany z cegieł, drewniane łóżko przykryte słomą, jakiś garnek w rogu. Tu i tam porozrzucane były pluszowe misie, wyglądające na takie, które miały za sobą już trzecią młodość. Ich rozłożone szeroko łapy, odrzucone na boki głowy przywodziły na myśl martwe płody ze zdjęć. Płody tych ludzi.

— Nie chcemy znać twojego imienia. Damy ci nowe, wiesz? Dzisiejszy dzień uznamy za dzień twych urodzin, dobrze? Zostaniesz z nami, prawda? Będziesz tym dzieckiem, którego pragnęliśmy, ale którego nigdy nie mieliśmy – głos mężczyzny wydał się łagodniejszy, jakby obecność kobiety tak na niego wpłynęła.

Kobieta coś zabalgotała, czego

Jacek nie zrozumiał. Mimo słabego światła dostrzegł strużkę śliny wypływającą z jej ust. Mężczyzna po kiwał głową.

— Racja. Masz rację, skarbie. Mów do nas mamó i tato.

Jacek nie potrafił się odezwać. Nie umiał powiedzieć niczego.

— Prześpij się z tym, synu – powiedział mężczyzna i oboje wyszli, gasząc za sobą światło i zamykając drzwi, zostawiwszy Jacka związanego, z policzkiem przyciśniętym do podłogi.

— Przepraszam – szepnął cicho.

Zamknął oczy, zacisnął powieki, a następnie otworzył je z powrotem. Suchym językiem dotknął dziąseł, wyczuł szczyrbę, a następnie zapłakał.



Carpe Noctem, 2011

www.carpenoctem.pl